

Bazyłow, Ludwik

[Gdyby profesor Józef Skrzypek...]

Kwartalnik Historii Prasy Polskiej 16/2, 130-140

1977

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

musztrą. Dbano bardzo natomiast o stronę moralną. Każdy harcerz musiał codziennie pochwalić się jednym dobrym uczynkiem, chociażby błahym, jak zrobienie porządku. Zakaz picia i palenia był bezwzględny. Kto go naruszył, a jak wspomniałem, w starszych klasach zaczynało się palić papierosy, zostawał bezwzględnie i bez odwołania wyrzucony.

Poza szkołą nie należeliśmy do tych samych grup. Józek, który pochodził z rodziny kolejarskiej i mieszkał obok parku miejskiego, miał swoją klikę „batiarów”, która prowadziła walkę ze śródmiejską, do której ja należałem. Bójki pomiędzy nimi były dość częste, bo i powodów było zawsze mnóstwo. Tarnopol, choć był stolicą województwa, żadną miarą nie mógł uchodzić za metropolię. Toteż dominowały w nim urzędy wojewódzkie i młodzież szkolna, nadając ton miastu. Poza nimi na uwagę zasługiwał jeszcze garnizon wojskowy, który co niedzielę paradował po wyjściu z kościoła przed swoim komendantem na pryncypialnej ulicy Tarnopola, która jednocześnie służyła mieszkańcom za deptak. Stąd też wszyscy znali się przynajmniej z widzenia.

Grupy młodzieżowe, o których wspomniałem, łączyła przeważnie więź sąsiedzka i narodowościowa. Czasem próbowano je organizować na zasadzie skautowskiej, ale nie zawsze coś z tego wychodziło. Podczas wojny docierało do nich POW, ale w moich czasach były to już przebrzmiałe historie. Tamtego życia Józka jednak nie znałem.

Tadeusz Skorecki

*

* * *

Gdyby profesor Józef Skrzypek żył, mógłbym właśnie teraz przypomnieć mu, nie bez największego zadowolenia ze swej strony, że znamy się już 44 lata. Liczba nie doznaje zresztą żadnych wstrząsów i pozostaje taka sama, mimo że już sam tylko wywołuję ją w pamięci. Liczba nie miała, poważna, przypadkowo nawet mickiewiczowska, chyba w pełni uprawniającą do osobistych wspomnień.

Poznałem tego niezwykłego, w najlepszym sensie na wskroś oryginalnego człowieka w pierwszym tygodniu października 1932 r., w Katedrze Historii Polski Uniwersytetu Jana Kazimierza. Były to jednocześnie pierwsze dni moich studiów wyższych. Romantyk rozpamiętywałby je z rozrzewnieniem; wydaje się przecież, że i historyk, niekoniecznie wyznawca szkoły romantycznej, może sobie w jakimś skromniejszym zakresie na to uczucie pozwolić, wspominając czasy, gdy ledwie skończył siedemnaście lat. Myślę o tym i przeżywam je powtórnie także nie bez żenady. Uniwersytet nie miał ani organizacyjnie, ani strukturalnie, ani pod żadnym innym względem zbyt wiele wspólnego ze szkołą śred-

nią — bodaj jedynym widowym, chociaż luźnym i wąłym łącznikiem byli niektórzy docenci mający swoje etatowe zajęcia w gimnazjum. Wstępując na uniwersytet, nie wiedziało się właściwie nic o nim, wszystko wyglądało całkowicie inaczej, nie tylko ja, lecz każdy młody człowiek w tej samej sytuacji czuł się bardzo niezręcznie i — mówiąc z pewną dozą przesady — jak gdyby wszystkiego się obawiał.

Co prawda, obawy takie nie trwały wcale długo. Potem nie można było samemu sobie się nadziwić, że się kiedykolwiek czegoś nie rozumiało, wszystkie najbardziej skomplikowane sprawy stały się olśniewająco jasne i życie nabierało coraz większego uroku, zwłaszcza w kręgu niezliczonych znajomości, zawieranych dosłownie co dzień. Trzeba zresztą oddać należną sprawiedliwość ówczesnym władzom uczelnianym, bo naprawdę umiały dbać o przejrzystą informację. Nowicjusze poruszali się w pierwszych dniach lekko, ale była to raczej sprawa przeżyć osobistych, nieuniknionych w otoczeniu zupełnie odmiennym od dotychczasowego. Mieli natomiast do dyspozycji drukowany program wykładów, z dokładnym oznaczeniem nazwisk, sal, dnia tygodnia i godzin, doskonale redagowany, zawsze gotowy już we wrześniu, a co najdziwniejsze — na ogół pokrywający się z przysłą rzeczywistością. Można to też określić wręcz odwrotnie: rzeczywistość nie najgorzej stosowała się do tych programów. Znalazłyby się, rzecz jasna, także odstępstwa, dające się zlokalizować na pograniczu humoru i satyry, ale nawet z najdoskonalszej pamięci dałoby się ich wydobyć względnie niewiele i trud ewentualnego ich wskrzeszenia trzeba raczej uznać za nieopłacalny.

Takimi uczuciami i wrażeniami przepełniony, po możliwie najstarszym przestudiowaniu rzeczonoego programu wykładów (obejmował oczywiście także seminaria, proseminaria, ćwiczenia, lektoraty i w ogóle wszelkie zajęcia), zacząłem z nabożeństwem wpisywać odnośne tytuły do indeksu. Lektura *Ody do młodości* minęła stosunkowo niedawno, więc miało się całkowite prawo mierzyć siły na zamiary. Ergo, postanowiłem kształcić się strasznie wszechstronnie, wpisując proseminarium z historii średniowiecznej i ćwiczenia z historii nowożytnej. Ścisłość jest podstawą wszelkich godnych zaufania relacji, dodam więc, że ukończyłem po roku jedno i drugie. Pierwsze prowadził pod patronatem profesora Teofila Modelskiego jeszcze wówczas magister, niedługo później doktor Stanisław Pazyra; ćwiczeniom patronował postrach studentów przy egzaminach, profesor Adam Szelański, a prowadził je doktor Zygmunt Zborucki.

Miałem więc zarówno proseminarium, jak i ćwiczenia, ale i tego było mi mało, „kariere” wyobrażałem sobie tylko w Katedrze Historii Polski. Władał nią wówczas jeden z najznakomitszych naszych mediewistów — nazwisko jego nie było mi obce już w trakcie nauki gimnazjalnej — Stanisław Zakrzewski. Kształcenie pod jego kierunkiem odbywało się nieco inaczej niż w innych zakładach. Gdzie indziej wchodziło

się na seminarium dopiero po odbyciu ćwiczeń lub proseminarium (czasem też tzw. seminarium niższego, o ile jednak pamiętam, na studiach historycznych tego nie praktykowano), prowadzonych zawsze przez asystenta — instytucja adiunktów była wtedy bardzo rzadka; seminaria prowadzili już tylko profesorowie. U Zakrzewskiego system był inny, prostszy, a jednocześnie znacznie trudniejszy; nie istniały żadne ćwiczenia ani proseminaria, tylko seminarium, na które dostawano się po odbyciu tych „niższych” zajęć w innej katedrze. Nielatwo mi dzisiaj odpowiedzieć, skąd wzięło się we mnie tyle odwagi, że przystąpiłem do zdobywania tej fortecy już w początkach pierwszego roku studiów. Pewnie dlatego, że nie miałem jeszcze pojęcia o tych tajnikach skomplikowanej gradacji. Ażeby się „zapisać”, musiałem koniecznie przejść uprzednio przez pokój starszego asystenta. Był nim właśnie doktor Józef Skrzypek.

Gdym po raz pierwszy stanął przed jego bardzo poważnym, choć młodym (miał 27 lat) obliczem, nie mogłem się oczywiście spodziewać, że znajomość nasza przetrwa dziesiątki lat, że będziemy rozmawiali z sobą setki razy przy najróżnorodniejszych okazjach, nawet — wyznam to, grzeszny człowiek, w nocnych lokalach. Nie mogłem o tym myśleć, bo nic mnie do tego nie upoważniało, żadnych przeczuć nie miewam, niczego wspólnego z jakimkolwiek intuicjonizmem nie doszukałbym się w sobie. Skrzypek, jak się już rzekło, był poważny, a w mowie nawet szorstki. Wystarczyło najzupełniej, aby uciec z tego pomieszczenia i wyzwoić swoją nieprawdopodobną trwogę jak najprędzej. Jakoś jednak przykułem się na siłę do podłoża, i nie odszedłem — mam prawo sądzić, że to zwycięstwo nad sobą przydało mi się niezwykle. A zwycięstwo polegało po prostu na tym, że — aczkolwiek zupełnie niedoświadczony, od razu przejrzał i zrozumiał szorstkość doktora Józefa Skrzypka. Nie przejął się bowiem tym, że byłem dopiero pierwszoroczny, wpisał moje nazwisko do jakiegoś zeszytu, zachęcił ruchem ręki do wejścia na salę. Zapomniałem dodać, że moment do zapisania się na seminarium wybrałem dość specyficzny, po prostu bezpośrednio przed rozpoczęciem się pierwszego w owym roku akademickim posiedzenia; cud zatem, że nie wygnano mnie bezlitośnie, cud zrozumiały w świetle tego, co pozwoliłem sobie wyżej napisać.

Z pokoju asystenta wchodziło się do dużej sali. Przez środek biegł długi rząd stołów, wzdłuż ścian imponujące woluminy w otwartych regałach (oszkłono je dopiero po kilku latach). Pośrodku wspomnianego rzędu stołów usiadł profesor, bardzo poważny (można powiedzieć: z marsową miną) i bardzo dostojny — miał wtedy lat 58. Obok niego doktor Józef Skrzypek — obecny był na każdym posiedzeniu seminaryjnym, nigdy żadnego nie opuścił, nigdy nie chorował, nigdy się nie spóźnił. Za stołami my — żądni wiedzy historycznej adepci, początkowo bardzo liczni, potem stan znacznie stopniał, kilkanaście osób jednak pozostało. I tak

biec odtąd miało życie przez prawie cztery lata. Umiejętności szkoleniowe profesora i — przyznajmy to sobie — umiłowanie przedmiotu robiły swoje. Z każdym miesiącem coraz więcej czasu spędzaliśmy w tych pomieszczeniach, w latach następnych także wszystkie właściwie popołudniem i wczesną wieczory, nieustannie wśród książek, od czasu do czasu zaszczycani rozmową z profesorem, który całymi godzinami przebywał w swoim gabinecie. I już nie potrzebuję dodawać, że coraz częstsze, coraz dłuższe, bardziej bezpośrednie, inicjujące nieskończoną wielość tematów stawały się rozmowy z doktorem Skrzypkim, który opuszczał lokal dopiero z wybiciem godziny ósmej wieczór. Szkoła życia — nie muszę się silić i szukać dla tego okresu innej nazwy, a zilustrować ją mógłbym setką przykładów. Dołączyłoby się do nich wspomnienie o niepowtarzalnym stylu tych rozmów, o sposobie argumentowania, wyjaśniania wielu zjawisk i kwestii oraz udzielania nam różnych nauk — w wypowiedziach o tonacji spokojnej, ale apodyktycznej, chyba zwykle słusznych, a jeśli nawet czasami inaczej odczuwanych, to przecież zawsze przyjmowanych z pokorą właściwą mniej dojrzałym słuchaczom. Tym bardziej że i puentowych sformułowań nie brakowało w naszych dyskusjach, tak zawsze nacechowanych specyficznym, „poważnym humorem” Józefa Skrzyпка, że jeszcze dziś raduje się serce, gdy je sobie człowiek przypomina. Nie wszystkie nadają się do powtórzenia, nie wszystkie też musiały być akurat puentami — Skrzypek potrafił przy każdej najbliższej nawet okazji ujmować syntetycznie rzeczywistość w określeniach lapidarnych, czasem trochę rubasznym, ale trafiających w sedno jak kula w środek tarczy. Zgodnie z przyrodzoną, a pozorną szorstkością pełen uroczego lekceważenia był jego stosunek do kobiet, co zresztą niewymownie cieszyło nasze uroczce koleżanki z seminarium i dostarczało nam radości bez końca, gdyśmy interpretowali te sprawy w rozmowach z sobą, już bez jego udziału.

We wszystkich sytuacjach — takich, jakie mogły się zdarzać w naszym ówczesnym kręgu, mieliśmy w nim szczerego przyjaciela i opiekuna. Józef Skrzypek wiele umiał sprawić swoim spokojem i swoimi charakterystycznymi metodami prowadzenia rozmowy: pocieszał, dodawał otuchy, zalecał cierpliwość. Przydawało się to zwłaszcza na pierwszym roku, bo i Stanisław Zakrzewski był profesorem nad wyraz oryginalnym. Jego oryginalność mogła zniechęcić i zniechęcała niejednego, toteż — jak już wspomniałem, liczne początkowo zastępy przyszłych wielkich historyków rychło stopniały. Obecnością pań na posiedzeniach seminaryjnych profesor się nie przejmował i bynajmniej do rzadkości nie należały przeróżne powiedzenia o ładunku treści odwrotnie proporcjonalnym do ilości słów. Przykład chociażby jeden. Któraś z koleżanek coś tam zreferowała trochę naiwnie i profesor na to: „rozum aż bucha”. Bywały i ostrzejsze określenia.

Najtrudniejsze do zniesienia było to, że Zakrzewski początkujących

seminarzystów nie dostrzegał, i to przez cały rok. W sensie naukowym nie istnieli dla niego, dopiero po roku zaczynał uważać ich za godnych zabierania głosu. Że nie inaczej wyglądała ta sprawa i w latach poprzednich, wiedzieliśmy od doktora Skrzypka, bieżąc odczuwaliśmy to sami. Sytuacja taka dawałaby się nawet określić jako niezwykle wygodna dla żółtodziobów, a jednak denerwowała, i to w niemałym stopniu. Skrzypek zachęcał do wytrwania, machając lekceważąco ręką i zalecając stoicką postawę krótkim komentarzem: „»stary« jest zawsze taki sam”. Cierpliwość nie poszła na marne, co więcej, właśnie w tym jeszcze roku, choć dopiero po upływie kilku miesięcy, nastąpić miał radykalny wyłom w dotychczasowych zasadach — „stary” dopuścił pierwszorocznych do naukowej komitywy.

Miło mi sięgać do tego pamięcią, jako że właśnie mnie przypadła główna rola w dokonaniu historycznego zwrotu. Wczesną wiosną 1933 r. rozpatrywaliśmy jakieś problemy z historii Polski końca XIV wieku. Pewnego czwartku (zawsze w tym dniu odbywały się posiedzenia między godziną 10 i 12 przed południem) przyszła kolej na starą literaturę — podano z półki na stół tom *Geschichte Polens* Jakuba Caro, odszukano potrzebny passus, i — tu się zaczęło. Nikt ze starszych seminarzystów nie umiał poradzić sobie z tekstem; to znaczy, pewnie poradziliby sobie niektórzy, gdyby nie żądano przy tym szybkości, ale profesor miał przy swoim dostojeństwie nie byle jaki temperament i chciał koniecznie, ażeby patrząc w tekst niemiecki, czytać go od razu po polsku. Zdenerwował się wielce i wreszcie rzucił z rozpaczą w głosie: „Czyż nikt tego nie potrafi?” Pytanie było czysto retoryczne, bo przecież nie myślał chyba, że zrobi to ktoś z pierwszorocznych. Ciekaw tylko jestem, o czym pomyślał, gdy na jego pytanie odpowiedziałem z zimną krwią: „ja”. Zaplanowała chwilowa cisza. Zakrzewski popatrzył na mnie wzrokiem, w którym malowały się jednocześnie absolutna niewiara i bezbrzeżna litość, po czym podał mi przez stół książkę. I od tego dnia uznał już nas za równorzędnych partnerów, nie mógł zresztą inaczej — wykonując zobowiązanie nie zająknąłem się ani słowem. Nie wypowiedział jednak też profesor ani słowa pochwały, musiał to wszystko ciekawie przeżywać, a mnie za pochwałę wystarczyły późniejsze słowa doktora Skrzypka: „No, nareszcie się stary raz naciął”.

I jeśli nawet tak, to w najlepszym sensie, bo życzliwość profesora już się odtąd nie zmniejszała, chociaż nigdy nie przejawiał jakiegóś serdeczności, a ostrych i dobitnych wyrażen też nigdy nie szczędził. Szczególną życzliwością darzył dwóch seminarzystów: Stanisława Kryczyńskiego, po latach autora dużej pracy o Tatarach litewskich, i moją skromną osobę. Postawa taka utwierdziła się ostatecznie, gdy przeszliśmy potem do łacińskiego tekstu Długosza. Powstawały dzięki temu kilkakrotnie okazje do „zaimponowania” profesorowi, np. gdy pewnego dnia dokonałem udanego przekładu wyrażenia, które sprawiło duże trudności: „inter privates

parietes". Innym razem znowu udało mi się utrafić w jego myśl, zaznaczając przy określeniu „Lestconis Nigri ex parte matris cognatus”, że z samego tekstu nie wynika, o którą matkę chodziło: czy Leszka Czarnego, czy tego, który był „cognatus”. Strasznie zadowolony był wtedy Zakrzewski i odtąd zaczęły się nawet od czasu do czasu zdarzać jakieś pochwały. Jedna z nich miała znaczenie zupełnie wyjątkowe. Podczas którejś z rzędu dyskusji, szczególnie ożywionej, wyszły na jaw duże różnice zdań. W podsumowaniu profesor zaaprobował stanowisko zajęte przez mnie i Kryczyńskiego, przy czym wyraził tę swoją aprobatę w słowach niezwykle dla nas pochlebnych: „Jeśli tacy »rabini« jak Bazyłow i Kryczyński zajęli takie stanowisko, to trzeba je przyjąć”.

Myślę, że choćby ze względu na koloryt szczegóły takie warte są przekazania potomności. Nie tylko jednak; wszystko, i to również, łączy się jak najściślej z postacią Józefa Skrzypka, który nie skąpił nam barwnych komentarzy w rozmowach. W ten sposób mijały lata, stawaliśmy się coraz dojrzalsi, zdawaliśmy egzaminy, odkrywaliśmy w sobie coraz intensywniejsze zainteresowania, także pozanaukowymi dziedzinami życia. Józef Skrzypek wszędzie odgrywał pozytywną rolę. W ówczesnym systemie egzaminacyjnym utrzymał się m. in. obowiązek składania jednego z egzaminów pisemnie i ustnie. Zależało to od zdającego, ja wybrałem historię średniowieczną. Ceremonia polegała na tym, że umieszczono mnie samego w jednym z pokojów. Na stole znajdował się arkusz papieru, obsadka ze stałówką i kałamarz pełen atramentu — tak, to były jeszcze patriarchalne czasy. Zaraz potem wszedł profesor i poświęciwszy dwie minuty na perypatetyczne myślenie, stanął przede mną i wskazując palcem na papier, podyktował temat tonem rozkazującym: „Cesarstwo i papieństwo za Ludwika Wittelsbacha”. Po czym wyszedł. Ostatecznie jakimś to przeżyciem jednak było i z wrażenia zapomniałem na chwilę, że Ludwik Wittelsbach i Ludwik Bawarski to jedna i ta sama osoba. Na szczęście szybko się to uregulowało w pamięci, tak że mogłem już tylko uprzejmie podziękować doktorowi Skrzypkowi, który zjawił się oczywiście w mojej samotni z zapytaniem: „Czy panu czegoś nie trzeba?”

W początkach września 1935 r. Zakrzewski wezwał mnie przed swoje oblicze i nie witając się, od razu zapytał brutalnie: „Ile ojciec daje panu pieniędzy na podróż do Wilna”? Zostawałem więc nienajgorzej wyróżniony, chodziło bowiem o udział w VII Powszechnym Zjeździe Historyków Polskich. Uświadamiając sobie od pierwszej chwili całą wielkość tego zaszczytu, odpowiedziałem równie stanowczo, że ojciec nie da mi nic. „Stary” szalał, groził, przekonywał i zachęcał, wykonując każdą z tych czynności tak samo bezskutecznie, aż wreszcie skapitulował i podjął decyzję, że pojedę na koszt Katedry. W ten sposób doszło do niezapomnianej ekspedycji, w której wzięło udział łącznie nas ośmiu, pod wodzą doktora Józefa Skrzypka. Tak, wszystko było wtedy niezwykle atrak-

cyjne, poczawszy od wielogodzinnej i całonocnej podróży pociągiem osobowym ze Lwowa do Wilna. Trud nie poszedł na marne — podczas tej podróży doktor Skrzypek nauczył nas grać w bridża. Niezależnie od tego, co najmniej każda większa stacja kolejowa, najpierw Krasne i Brody (Zdołbunów i Równe mijaliśmy w nocy), potem Sarny, Łuniniec, Baranowicze i Lida, dostarczały mu okazji do interpretacji historyczno-demograficznych i wygłaszania różnych maksym życiowych. Czas biegł więc szybko i o żadnym znudzeniu mowy być nie mogło, ba, zdarzały się nawet epizody jeszcze innego typu. Dostrzegliśmy na przykład przechodzącą korytarzem kobietę wyjątkowej urody i budowy. Trwało to oczywiście tylko chwilę, ale wystarczyło na oceny pełne zachwytu. Doktor Skrzypek też się tym przejął, zapomniał o swoim antyfeministycznym światopoglądzie i wyszedł na korytarz dla przeprowadzenia bardziej szczegółowych oględzin. Wrócił, machając pogardliwie ręką: „E, ona jest z kafarem” (towarzyszem). Jakże bogatą treść zawierało to krótkie zdanie, świadcząc z jednej strony o powrocie do antyfeminizmu, a z drugiej, wprost przeciwnie — zostawiając pole do przypuszczeń: czego by to nie było, gdyby ona nie była z „kafarem”.

Przeżycia wileńskie też zasługiwałyby na oddzielny tom. Mieszkaliśmy wszyscy w jakimś domu na Dominikańskiej, ochrzczonym przeze mnie nazwą „przytułek” (przyjęła się błyskawicznie), oczywiście wszyscy razem w jednej sali, a raczej w pokoju, w którym oprócz łóżek nie było absolutnie niczego. Zwiedziliśmy bardzo dokładnie miasto, modliliśmy się w Ostrej Bramie, podziwialiśmy kościół św. Anny i wiele innych, nie ominęliśmy cmentarza na Rossie ani meczetu mahometańskiego, ani oryginalnej kenesy karaimejskiej. Przysłuchiwaliśmy się natchnionym przemówieniom wielkich historyków, braliśmy udział w przyjęciu u rektora uniwersytetu Stefana Batorego. Przyjęcie odbywało się na stojąco, przy stołach, na których piętrzyły się różne dobra świata tego, m.in. góry winogron i jabłek o nie spotykanej dziś dorodności, mięsiwa, sardynki i kawior, który zobaczyłem po raz pierwszy w życiu. Doktor Skrzypek wygłosił do nas ciche przemówienie, że należy „żyć jak najwięcej” i pilnował wykonania z niezwykłą sumiennością. W ten sposób wzniesiliśmy się pod jego kierunkiem jeszcze o stopień wyżej w trudnej szkole życia. W miarę posiadanych środków staraliśmy się też poznać, choćby pobieżnie, inne uroki tego wspaniałego miasta, głównie jego bary i winiarnie, wstąpiliśmy również do słynnej wówczas cukierni Sztralla. Byliśmy w teatrze — dawano sztukę J. K. Davisa *Wszystkie prawa zastrzeżone*, główną rolę kreował Mariusz Maszyński; takiego aktora nie można zapomnieć. W dodatku zaś doktor Skrzypek przyznał się milcząco po raz pierwszy do tego, że jest trochę krótkowidzem. Jestem nim tak samo i podczas spektakli używam okularów. Zobaczywszy to, Skrzypek pożyczył je ode mnie „na chwilę” i nie oddał aż do końca przedstawienia, jeszcze jeden powód, dla którego nie mogę go zapomnieć.

Długo w noc ciągnęły się potem w „przytułku” dyskusje nad doznanyimi wrażeniami, kierowane oczywiście przez naszego przywódcę. W obfitej tematyce różne zagadnienia wysuwały się na plan pierwszy, jednych interesowało bardziej to, innych owo. Ktoś nas poinformował, że główną siedzibą pań, uprawiających w Wilnie najstarszy zawód świata, jest ulica Miłosierna i trudno było przejść do porządku nad taką zbieżnością bez odpowiedniej analizy. Ktoś inny, bardzo poważny mimo młodego wieku, próbował całkiem na serio dostroić się do uczzonej atmosfery kongresu i wszczać rzeczową dyskusję na temat „rozkoszy, jaką daje interpretowanie źródeł historycznych”. Jednych i drugich doktor Skrzypek z lekką hamował łagodnymi reprimendami...

Po powrocie z Wilna zaczął się dla mnie czwarty, ostatni rok studiów. Egzaminy wszystkie były zdane jeszcze w połowie trzeciego roku, praca magisterska zaawansowana, wiedziałem, że skończę studia w terminie — należało powoli myśleć o przyszłości. Perspektywy wynurzyły się niespodziewanie jak najlepsze. Oto mniej więcej na przełomie 1935 i 1936 roku zaczęto przebąkiwać, że doktor Skrzypek przejdzie z nowym rokiem akademickim na inne, lepsze stanowisko, prawdopodobnie w Warszawie. On sam nie zdradzał się z niczym, o sobie mówił zresztą bardzo rzadko, właściwie nigdy. Powoli jednak i ta zasłona miała opaść. Najpierw dowiedzieliśmy się, że profesor zaproponował stanowisko asystenta Kryczyńskiemu, który jednak odmówił; Kryczyński czcił „starego” jak święty posąg, ale jednocześnie bał się go jak ognia; sam powiedział mi, że strach w żadnym wypadku nie pozwoliłby mu pracować przy Zakrzewskim w charakterze asystenta. I wtedy przyszła kolej na mnie. Skrzypek porzucił tajemniczość i powiedział mi po swojemu wprost: „Dlaczego pan nie może zostać asystentem, skoro może pan nim zostać”. Przyszłość miałem więc jak gdyby zapewnioną, aczkolwiek jeszcze nieoficjalnie. Wszystko ułożyło się jednak inaczej — cóż, historyk, nawet młody, powinien wiedzieć lepiej niż ktokolwiek inny, jak zmienne są koleje losu.

W marcu 1936 r. padł cios; profesor Stanisław Zakrzewski dostał w windzie ataku serca, który okazał się śmiertelnym. Przeżyliśmy to ciężko, i nie mogło być inaczej, skoro zawdzięczaliśmy mu tak wiele, a w ogóle stosunek do profesora charakteryzował się wtedy nieco innymi cechami niż obecnie. Pogrzeb należał do rzędu tzw. wspaniałych, bo Zakrzewski piastował różne dostojeństwa, także polityczne — był senatorem i sanatorem, w jego gabinecie wisiał portret marszałka z własnoręcznym podpisem. Poglądów żadnych jednak nikomu nie narzucał, chociaż bez poruszania tych czy owych problemów z zakresu polityki na posiedzeniach seminaryjnych nie mogło się oczywiście obejść i chociaż właśnie dlatego wiedział, że większość z nas nie bardzo te poglądy podziela. Warto o tym powiedzieć, gdy się wspomina „konserwatywnego historyka”, jak go może słusznie, ale zbyt jednostronnie określiła Wielka Encyklopedia Powszechna.

Podczas wyprowadzania zwłok z kościoła św. Mikołaja przy starym budynku Uniwersytetu tłum skupił się na ulicy, położonej niżej poziomu budynku. Z wysokości wygłoszono kilka przemówień; był wśród mówców także przedstawiciel uczniów profesora, nasz nieco młodszy pod względem studiów kolega, niewątpliwie najbardziej „reprezentacyjny” (czasami pojawiał się na ulicach miasta nawet w cylindrze) spośród nas wszystkich, i to nawet nie tylko dlatego, że pochodził z rodziny ziemiańskiej. Przemówienie, zaczynające się od słów „Ostatnie słowa profesora były...”, wygłosił naprawdę świetnie, wypiswży bezpośrednio przedtem (w bramie) solidny „sztagan” czystej na kuraż.

Śmierć profesora zmieniała zasadniczo sytuację w Katedrze. Od razu powołano coś w rodzaju komisarycznego zarządu, powierzając kierownictwo profesorowi Modelskiemu. Nie ulegało już wątpliwości, że w krótkim czasie wszystko przybierze zupełnie inny wygląd. Przede wszystkim — Modelski Skrzypka wyraźnie nie lubił; po drugie — zacząłem się obawiać o terminowe ukończenie studiów. Nowy kierownik nie stawiał może zbyt wygórowanych wymagań swoim studentom, skądinąd bardzo licznym, ani też nie należał do ostrych egzaminatorów. Rozciągał jednak wszystko do niemożliwości, punktualnością też się nie odznaczał, a tematy prac magisterskich dawał dość osobliwe, toteż studiowano u niego na ogół długo, nierzadko i siedem lat. Miałem jednak niemałe szczęście, i to podwójne: Modelski zgodził się od razu przyjąć moją pracę, tak że w czerwcu 1936 r. zostałem magistrem, a w jesieni dostałem dzięki niemu stypendium, umożliwiające roczny pobyt naukowy w Budapeszcie.

Zanim do tego wszystkiego doszło, przeżyło się niejedną trwoźną chwilę, ale sytuację złagodził i główne troski w siną dal usunął znowu Józef Skrzypek. Rozmowę zasadniczą odbył ze mną już w parę dni po uroczystościach pogrzebowych. Oświadczył mi z całą powagą, że wszystkie dotychczasowe obietnice, nadzieje i perspektywy biorą nieodwołalnie w łeb, że on też odchodzi, że o żadnej karierze przy katedrze nie ma co marzyć, bo „Modelski ma swoich ludzi”, i że wobec tego powinienem się zająć intensywnym myśleniem na temat tego, co z sobą zrobić. Odpowiedziałem, zdaje się nie bez gorzkości, iż najintensywniejsza nawet praca myślowa nie przekształci się samorzutnie w pracę zawodową. Pomruczał coś i pożegnał się z wyraźnym niezadowoleniem, a po kilku dniach — załatwione było wszystko. Znajomości miał doktor Skrzypek wiele, i to różnorodnych, szybko więc odbył potrzebne rozmowy i następnie polecił mi zgłosić się do kustosa Biblioteki Zakładu Narodowego imienia Ossolińskich, Kazimierza Tyszkowskiego. Był to docent naszego Uniwersytetu, etatowo zatrudniony w Ossolineum, która to instytucja miała jednocześnie swoje ogromne wydawnictwo.

U Tyszkowskiego — przedtem zupełnie go nie znałem — zjawiłem się niezwłocznie, oczywiście nie bez wielkiej obawy, czy coś z tego wyjdzie. Wszelkie obawy okazały się płonnymi, a rekomendacje ze strony Skrzyp-

ka musiały być naprawdę nadzwyczajne, bo Tyszkowski równie nadzwyczajnie mnie przyjął. Od tego dnia aż do dnia przedwczesnej śmierci z końcem kwietnia 1940 roku darzył mnie stale i niezmiennie zaufaniem i przyjaźnią. A już 17 kwietnia 1936, jeszcze będąc studentem, pracowałem w Wydawnictwie Ossolineum jako referent wydawniczy, wiążąc się zawodowo z tą instytucją aż do wybuchu wojny, z roczną przerwą podczas pobytu na Węgrzech. Okres ten był jednocześnie przerwą w kontaktach z Józefem Skrzypkim, który opuścił Lwów i przeniósł się do Warszawy.

Powrócił we wrześniu 1939 r. i zjawił się oczywiście w Katedrze, gdzie od pierwszego dnia wojny byłem oficjalnie starszym asystentem. Katedrą kierował od dwóch lat profesor Ludwik Kolankowski, u którego doktoryzowałem się w czerwcu 1939 r. Jednocześnie stało się zadość „historycznej sprawiedliwości” i nie ominęła mnie przyrzekana jeszcze za życia Zakrzewskiego asystentura. Na życzenie profesora zgodziłem się ją objąć i 22 lipca otrzymałem nominację, ważną od 1 września. Pożegnawszy się z wydawnictwem, przybyłem w tym dniu o dziesiątej rano do zakładu w celu rozpoczęcia pracy, nie wiedząc o tym, że jest wojna. Po upływie mniej więcej godziny usłyszeliśmy odgłos jakiejś strasznej eksplozji — padły na Lwów pierwsze bomby. Zaniepokojony i zdenerwowany, wyszedłem w tym dniu z zakładu bardzo prędko; na ulicach sprzedawano już dodatek nadzwyczajny, zaczynający się od słów: „Nasz odwieczny wróg wkroczył w granice Polski...”

Profesor Kolankowski zdołał wrócić do Warszawy ostatnim pociągiem, który tam ze Lwowa jeszcze dotarł, zdaje się, że 7 września. 12 września Niemcy podeszli pod miasto i zaczęli je ostrzeliwać, bombardowanie natomiast ustało. Uniwersytet przestał funkcjonować — powróciłem tam dopiero w ostatnich dniach września, pozostając na swoim stanowisku do końca grudnia, kiedy to Katedra Historii Polski zmieniła nazwę. Skrzypek zjawiał się codziennie, wróciliśmy w nowej sytuacji do starych długich rozmów, w których niejednokrotnie znowu uzewnętrzniała się jego wielka mądrość życiowa i niepowtarzalny, choć zawsze tylko lekko cieniowany humor. Towarzyszył nam w okresie tych trzech miesięcy docent Kazimierz Hartleb, po wojnie profesor uniwersytetu Mikołaja Kopernika, niezrównany i błyskotliwy *causeur*, powołany przejściowo na p. o. kierownika katedry. Przychodził codziennie starszy asystent katedry Szelażowski, doktor Adam Dygdała, po wojnie też pracownik uniwersytetu toruńskiego. W grudniu unowocześniliśmy trochę formy spędzania czasu, codzień około południa udając się (Hartleb, Skrzypek, Dygdała i ja) do knajpy na Placu Akademickim (mniejsze restauracje funkcjonowały jeszcze wtedy, nadal jako prywatne), gdzie każdy z nas wypijał po dwa kieliszki czystej, zwykle bez przekąski, bo nie bardzo było za co. Te nasze wędrówki trwały dwa miesiące, kontynuowaliśmy je jeszcze w styczniu, choć wtedy już nie związani z Uniwersytetem. W

obrzędzie konsumpcyjnym towarzyszyli nam stale jeszcze trzej mężowie: znany działacz Stronnictwa Ludowego, poseł Jan Bryl, Józef Skoczek, doktor Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz profesor Politechniki Lwowskiej, inż. Tadeusz Wróbel.

W ostatnich dniach stycznia skończyły się biesiady i wszyscy rozeszli się w różnych kierunkach na długie lata, czasem też na zawsze. Spotkanie ze Skrzypkim nastąpiło dopiero po trzynastu latach w Warszawie, ale przyjaźń nadal była mocna i niewzruszona. Widywali się stosunkowo często, zwłaszcza od chwili, gdy docent Skrzypek objął stanowisko samodzielnego pracownika nauki w Instytucie Historii Kultury Materialnej PAN — głównie w kawiarniach, bo kawę lubił sobie wypić kilka razy dziennie. W 1959 roku powierzono mu stanowisko kierownika Pracowni Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego XIX i XX wieku, przyszedł wreszcie też tytuły profesorskie. Spotkania kawiarniane stały się rzadsze, odwiedzałem go za to w „dyrektorskim” gabinecie w Pałacu Kultury, zawsze częstowany kawą i „Wawelami”, podczas zawsze takich samych, instruktywnych i charakterystycznych rozmów. W latach 1958—1969 spotykaliśmy się też w Wojskowej Akademii Politycznej, gdzie obaj mieliśmy zajęcia dodatkowe. I tak było aż do pewnego dnia, gdy spotkany przypadkowo na Nowym Świecie, nie zapraszał mnie już na kawę, oświadczając, iż nie czuje się dobrze. Na pytanie, co mu dolega, odpowiedział krótko: wszystko. I już nigdy z nim nie mówiłem. Jeszcze tylko raz miałem mówić, ale — o nim.

Wspomnienia, zwłaszcza krótkie, nie postulują syntetycznych sformułowań. Życie i działalność Józefa Skrzyпка były jednak takie, że o bardziej generalne określenia też wcale nietrudno. Odszedł człowiek, który dogłębnie i wszechstronnie poznał życie w wielu jego przejawach. Reprezentował wielką mądrość życiową, wynikającą zarówno z wrodzonych zdolności, jak i ze zdobytej wiedzy, którą z najróżnorodniejszych względów eksponował w innych formach, a więc np. drukiem, w ramach skromniejszych, niżby należało oczekiwać, chociaż jego dorobek, także książkowy, nie jest bynajmniej mały. Swojej mądrości życiowej nie skąpił przyjaciółom i znajomym, zwłaszcza zaś dobrym przyjaciółom, czyniąc to pozornie w sposób apodyktyczny. Nie wszyscy rozumieli, że często płynęło to także z pewnej przekory i z towarzyszącego mu stale poczucia humoru.

Takim odszedł od nas Józef Skrzypek. Nie ma na to rady, odejść musi każdy. My jednak, ludzie ceniący życie i naukę łącznie, nie przestajemy żałować, że odszedł zbyt szybko.

Ludwik Bazylow

SŁOWO O PRAWYM CZŁOWIEKU

Źródła, motywy i okoliczności towarzyszące więzom międzyludzkim bywają różnorodne: rodzinne, zawodowe, szkolne, ale żadne z nich nie znajdowało się u początków wieloletniej, przyjaznej i niezmiennie trwa-